

Antygona urodzona martwo

Wiemy, dobrze wiemy, że od dawna na wielką tragedię klasyczną nas nie stać. Z mnóstwa najrozmaitszych powodów (których samo tylko wyliczanie zajęłoby całą notkę) spłaszczyło się nam widzenie konfliktów teatralnych i świata poprzez teatr. Nie lubimy — i przy tworzeniu spektakli, i przy ich oglądaniu — tych nierozwiązywalnych sprzeczności, gdzie nie ma dobrego wyjścia ani schematycznego rozłożenia racji. Nie lubimy komplikować sobie życia przez zagładanie w zakamarki psychiki bądź rozważanie natury fatum. Takie to już płaskie oblicze ma teatr czasów Isaury i Krokodyla. Wszystko to wiemy, aliści zawsze dotkliwie jest przypominanie sobie tej wiedzy. Zwłaszcza gdy komentować przychodzi spektakl młodego reżysera, od którego oczekuje się kropelki nowego życia dla kostniejących scen.

Antygona w Częstochowie trwa półtorej godziny bez przerwy. Można więc mówić o stężeniu nudy, bowiem jej dawkę oceniam na co najmniej trzy godziny. Trudno spierać się o całościową interpretację; reżyser potknął się już na dużo niższym progu warsztatowo-podstawowym.

Sprawa pierwsza: chór. U Bogdana Cioska jest to siedem osób poubieranych w niezbyt określone, ale z pewnością plebejskie w charakterze stroje. Ich funkcja sprowadza się do ilustrowania słów protagonistów: podrygują z radości na wieść o końcu wojny, odprowadzają smętnymi minami Antygonę na śmierć. Koryfeusz (Zbigniew Bebak) mówi namaszczone sentencje, które są tylko pustym moralizatorstwem, skoro nie wynikają z istoty tego zbiorowiska. Chór nie jest tu uosobionym komentarzem, lecz jedynie ornamentem.

W wywiadzie przedpremierowym (*Życie Częstochowy* nr 241/1986) reżyser zapowiadał: „Skoro chcemy mówić o relacji władza — społeczeństwo, musimy stworzyć Kreonowi partnera, a więc inaczej niż to dotychczas czyniono potraktować chór”. Nic z tego nie wyszło. Niedoświadczony reżyser albo od początku myślał fałszywie, albo nie potrafił swej koncepcji przeprowadzić poprzez zespół.

Sprawa druga: muzyka. Zygmunt Konieczny dał częstochowskiemu przedstawieniu ilustrację częściowo już znaną (jeden z motywów *Nocy listopadowej*). Dał także ostry jak zgrzyt po szkle, przenikliwy akord. Reżyser chciał punktować tym muzycznym uderzeniem wszystkie ważne kwestie, i przy czterokrotnym, powiedzmy, zastosowaniu rzecz by się zapewne udała. Po dwudziestym ósmym ryku głośników wiadomo już jednak było, iż takie kawałkowanie niemal co wiersz wypowiadanego tekstu prowadzić może wyłącznie do dezintegracji przedstawienia. Muzyka tak użyta rozbijała tok spektaklu, uniemożliwiała ja-

Czesława
Monczka
(Ismena)
i
Elwira
Hamerska
(Antygona).
Fot.
Romuald
Sakowicz



kierkolwiek narastanie napięcia i jakiegokolwiek aktorstwo zespołowe.

Wykonawcy bronili się więc, każdy na własne konto: Jerzy Smyk dobrymi warunkami do roli Kreona i dobrym rezonanstwem; Elwira Hamerska wydobyciem z *Antygony* tonu najszlachetniejszego: nie cierpiącego i nie buntowniczego, lecz powściągliwego i niekwestionowanego poczucia powinności. Pozostali bronili się mniej skutecznie, a wszyscy ograniczali swą działalność sceniczną do monologów, nie szukając kontaktu z partnerami, nie budując ról z dramatycznych starć racji.

To chyba moja czwarta czy piąta w ostatnich sezonach *Anty-*

tygona martwo urodzona. Biedne te dziecięctwa spędzone przez nauczycieli, które zaliczając w ten sposób lekturę nigdy nie dowiedzą się, na czym polegał fundament teatru funkcjonującego w rodzimym ich kręgu kulturowym przez nieźle wieki. Nie wiem, zupełnie nie wiem, co należałoby przedsięwziąć, by kiedyś znów stać nas było na *Antygony*, a nie tylko, jak mawia Nyczek, na antynogi.

JACEK SIERADZKI

Teatr Dramatyczny im. Mickiewicza w Częstochowie: *ANTYGONA* Sofoklesa. Reżyseria: Bogdan Ciosek scenografia: Andrzej Witkowski. Premiera 26 X 1986